Nr. 15. Lwów, dnia 1. sierpnia 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.
Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.
Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

Biuro gal. Towarzystwa łowieckiego: ulica Jagiellońska l. 3, II. piętro.

Z życia wilków karpackich

skreślił

Jan Marcinków

delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Gdy raz rozdarły wilki kilka sztuk łań i należycie ponajadały się, podążyłem za ich tropami i po ośmiogodzinnym marszu doszedłem do ich, nie tak legowisk, jak miejsca igrzysk, gdzie może ze dwumorgowy plac wyglądał formalnie, jakby przez stado owiec stłumiony. A że ich zabawy odbywały się w dość młodnikami zasłoniętem miejscu, więc gdy zoczyły mnie na odległość około 200 kroków, to już nie było poco zrywać strzelby, gdyż rozpierzchły się formalnie, jak błyskawica, a później już mi się nigdy nie udało z wilkami spotkać. Nielada też zadanie było, taką znaczną bandę zredukować, trwało to wprawdzie 2 lata, przecież zredukowało się ją do tego stopnia, że pozostały 2 samce, które do dziś dnia wałęsają się bądź po tutejszym rewirze, bądź po Wełdzirzskiem lub Skolskiem i są tak wyrafinowane, że niepodobna z nimi ani zdybać się, ani ich na smakołyk, lub żelaza złapać.

Przed czterema laty, kiedy ta banda 14 wilków po raz pierwszy zimową porą mogła być dokładnie obliczoną i obserwowaną, podziwiałem nieraz spryt i wyrafinowany zmysł myśliwski tych zwierząt. Zwykle, jeśli maszerują, idą gęsiora tak misternie, że w zakład można by iść, że tylko jeden wilk przeszedł. Dopiero, gdy w pobliżu swego oto-

czenia zwietrzą coś podejrzanego, rozskakują się na wszystkie strony.

Po forsownych marszach i dłuższej bezowocnej pogoni za zwierzyną, lubią bardzo używać utartych gościńców, lub dróg leśnych. Gościniec leśny, który przecina w poprzek rewir Mizuński, ma około 35 kilometrów długości.

Obserwowałem dość często, że wilki idąc nocą gościńcem, a upatrzywszy sobie pewien teren rewiru, gdzie prawdopodobna: jest możliwość upolowania świeżej pieczeni, rozstawiają się formalnie, jak nagonka w pojedynki, na długości nawet i kilku kilometrów, postępują następnie, jakby w linii tyralierów ku upatrzonemu miejscu, przebuszowując tym sposobem kolosalny teren.

Jeśli tedy jeden z wilków co upoluje, sygnalizuje to wnet, jak na trąbie myśliwskiej wyciem swym towarzyszom, no, i biesiada i wspólny poczęstunek jest gotów. Jeśli jednak sztuka im się nie uda, ściągają się, jak na komendę i jak by już w uplanowanem z góru miejscu, ażeby następnie znowu wspólnie, gęsim sznurkiem wędrować w dalsze rewiry, celem uskuteczniania swego krwiożerczego sportu.

Mając w tym czasie do dyspozycyi konia zabitego w zrębie, spróbowałem był zatruć go strychniną w ten sposób, iż kazałem go bokiem na jednej stronie rozpruć, skórę odwinąć należycie, strychniną naszpikować, napowrót ją złożyć, zeszyć, a następnie przewrócić zatrutą stroną do ziemi, tak, ażeby się zdawało, że koń jest nietknięty.

Po pewnym czasie przyszły wilki i wierzchną część niezatrutego ścierwa zżarły, gdy zaś zakosztowały goryczkę strychniny, pozostawiły zatrutą część całkiem nietkniętą. Koń ów leżał kilka miesięcy nieruszany, pomimo, że wilki dość często go odwiedzały. Gdy mi już tych bezowocowych wizytacyj wilczych do konia było za dużo, postanowiłem obstawić konia żelazami, a nie miałem innych żelaz, tylko 4 sztuki silnych żelaz kabłąkowych, w których sprężyny są tak silne, że za lekkiem pociągnięciem za ponętę, walą wilka w kark z taką gwałtownością, że na miejscu zabijają.

Wilki przychodziły i po rozstawieniu żelaz, ale o tknięciu ponęty, lub naruszeniu konia i mowy nie było.

Po pewnym czasie przychodzę zaglądnąć do konia i ku memu nie małemu ździwieniu widzę już z daleka jedno żelazo zamknięte, a w drugiem żelazie, pomyśli zapewne szanowny czytelnik że wilk, gdzie tam, nie wilk, tylko nieboszczyk koń, a w dodatku w jakiej oryginalnej pozycyi, na tylnych nogach stoi niezgrabnie w śniegu a głowa w żelazach!

Działo się to pod wiosnę, kiedy „mysio“ już z gawry wyruszył a w braku lepszych delicyj, chciał się po zimowym letargu posilić koniną.

Wziął tedy przez pół leżącego konia, podniósł w górę i zaczął taszczyć, tymczasem zawadził końskiem ścierwem o jedno żelazo, a gdy się to zatrzasło, zdaje się spłoszony trzaskiem, cisnął koniem o ziemię tak, że tylne nogi końskie zabiły się w śnieg, głowa zaś trafiła na drugie żelazo, które konia po śmierci złapało.

Niedźwiedź widząc zapewne, że tu coś „niesamowitego“, a tem samem podejrzanego, uważał za stosowne zrezygnować z taniego mięsa końskiego i wyniósł się, jak niepyszny, w dalsze obszary puszczy leśnej.

Konia naturalnie z żelaza uwolniłem, umieściłem go na poprzedniem miejscu, żelaza napowrót ponastawiałem, ale już chyba na to, aby po kilkomiesięcznem rdzewieniu, po zupełnem stajaniu śniegów, i zgniciu ścierwa, pozabierać do domu.

Tymczasem jednak, nakrajałem był dość sporą ilość ochłapów, w które ponakładałem był stearynowych kapsułek z strychniną, nawet w dość znacznem oddaleniu od konia i te już wywarły pomyślniejszy skutek, bo chociaż wszystkie 14 wilków się nie struły to przecież ośmiu wilkom tak się po pigułkach czyli kapsułkach było niedobrze zrobiło, że musiały się z światem pożegnać.

W sąsiednim rewirze Wełdzirskim złapał na żelaza tamtejszy leśniczy Z. 4 wilki, drugi zaś leśniczy M. ubił wilczycę i zabrał jej 5 młodych, które długi czas u siebie hodował a później porozdawał, a jednego ubił strażnik lasowy B., z którym to wilkiem była ciekawa, przeprawka jaka się nie często trafia.

Przy końcu marca, przy dobrej ponówce, zawiadomiono mię, że nad rzeką Mizunką leży świeżo rozdarta przez wilki łania.

Udałem się tam więc, aby rzecz sprawdzić i aby w razie potrzeby ponakładać ochłapów z kapsułkami, a wziąłem ze sobą dwóch strażników, R. i B.

Przyszedłszy na miejsce, zastałem rzeczywiście rozdartą łanię i ślad tylko jednego wilka. Łania była mało co uszkodzona, tylko poszarpana i wypatroszona dość należycie. Zebrałem się tedy do krajania sznycelków i napychania kapsułek, a że tuż obok spostrzegłem też ślad dzika, przeto wyprawiłem strażnika B., aby poszedł go tropić, sam zaś zostałem ze strażnikiem R. przy fabrykacyi „kanapek“ dla wilków.

Po chwili słyszę, że strażnik B., który poszedł tropić dzika, strzelił raz, za parę minut słyszę, poprawił drugim strzałem.

Byłem więc pewny, że doszedł do dzika i strzelił, drugim zaś strzałem dobijał. Po pewnej chwili słyszę trzeci strzał, nareszcie czwarty, ba, nawet później i piąty.

Nagle widzę, jak strażnik B. biegnie z góry, jak szalony wprost do mnie; przylatuje zdyszany i melduje, że 5 razy strzelał do wilka, a wilk zamiast padać, biegnie ciągle w prostym kierunku na niego.

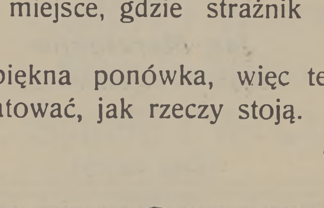
Niechciałem w pierwszej chwili wierzyć tej historyi, a że byłem właśnie zajęty wkładaniem kapsułek do ochłapów, poleciłem strażnikowi, by wziął mój sztuciec i poszedł wilka dobić, lecz on rzekł, że jest tak tem dziwnem zachowaniem się wilka przerażony i ucieczką zmordowany, że nie byłby w stanie należycie strzelić, gdyż mu już ręce ze strachu się trzęsą.

Prosi mię, abym sam poszedł, gdyż wilk niedaleko i ciągle na dół potokiem ku nam postępuje a nawet i farbuje.

Rad nierad spakowałem naprędce moją aptekę, pozostawiłem „kanapki“ niedokończone, chwyciłem za sztuciec i udałem się na miejsce, gdzie strażnik B. wilka pozostawił.

A że była piękna ponówka, więc tem łatwiej było po śniegu skonstatować, jak rzeczy stoją.

(Dok. nast.)



ALEKS. REICHARDSPERG REICHARD.

Wspomnienia z polowań na rogacze.

(Dokończenie.)

W roku 1905 w czerwcu, otrzymałem pozwolenie zabicia jednego rogacza w dobrach M. Naturalnie postanowiłem najpierw dobrze się temu rogaczowi przypatrzyć. Już przed wschodem słońca siedziałem z leśnym na wózku. Po drodze ku łąkom spostrzegłem dwa słabe rogacze. Dojeżdżamy do łąk — obszaru kilkaset morgów. Tu trzeba było zleść, bo drogi nie ma, a tylko nasyp torfowy z kanału przecinającgo te łąki — stanowi przejście do lasu. Dzień cudowny, lecz rosa jak po ulewnym deszczu, trawy w pas. Po chwili od pasa do stóp nie było już na mnie nic suchego. W dali widać kilka sztuk sarn. W rozpraszającej się mgle i oświetlone wschodzącem słońcem, wydają się olbrzymami. Pobieżny już przegląd ostudza nadzieje, dwa lecz słabe rogacze. Sarny dziwnie płoche (graniczne) już na znaczną odległość wynoszą się do lasu. Po godzinnej wędrówce przez łąki, ociekając formalnie wodą, wchodzimy do lasu. Główna nadzieja jednak — łąki — już zawiodła. Już na wstępie do lasu stoi — znowu rogaczyk. Leśny nie może pojąć, za czem ja właściwie chodzę. Słońce już dosyć wysoko, mijamy zrąb nie daleko już kresu w ogóle naszej tury zamierzonej, położony. Na zrębie przy ścianie przeciwległej lasu stoi sztuka; zdaleka już widać, że to niezły rogacz. Zostawiam leśnego na drodze a sam wracam aby ścianą lasu rogacza podchodzić. Wilgotny, głęboki mech tłumi wszelki szelest. Dochodzę na odległość 120 kroków i za pierwszym napotkanym pniakiem przyklękam. Że klęknąłem w wodzie, nie robiło mi to różnicy, bo byłem już i tak zupełnie przemoczony. Rogacz w tej chwili musiał mnie zawietrzyć, bo zwrócił się na sztych. podsunął ku mnie, stanął w gęstym krzaku olszyny rozpoczął basowym głosem prawdziwy koncert. Z sztućcem przy twarzy czekam na obrót. Wtem rogacz postępuje jcszcze parę kroków ku mnie, tupie badylami, i jakby chciał mnie obchodzić, występuje patrząc w moją stronę, w całej okazałości, na zrąb. W chwili ściągnięcia cyngla miałem uczucie, że strzelam ku przodowi. Po strzale rogacz wpada w przyległy młodnik i straszy bezustannie a głos wskazuje, że zmierza ku wysokiemu lasowi poza linią się ciągnącemu. Biegnę na linię tę, aby go zobaczyć, ale już było zapóźno; zdążył ją przejść prędzej niż ja. Głos bezustannie rozbrzmiewa w wysokim lesie. Biorę sztuciec w rękę i pędem biegnę przez moczary i stosy gałęzi wprost na głos. Za powalonym świerkiem mignęła mi czerwona plama. Byłem w tej chwili zlożony, a w sekundę, korzystając z chwilowego zatrzymania się rogacza — strzeliłem. Parę skoków i już słyszę charakterystyczne charczenie. Na zielonem tle mchu i paproci leżał dobry, regularny szóstak. Pierwsza kula „streifem“ zrobiła na przodzie komory powierzchowną ranę około 10 cm. długą, druga przekątnią przez komorę. Szczególne w tem zdarzeniu było to straszenie rogacza pomimo tej rany. Wielu myśliwych utrzymuje, że straszy po strzale rogacz tylko chybiony. Od jednego wiarygodnego myśliwego słyszałem, że pewien rogacz po strzale kilka razy zastraszył, a w chwil kilka upadł nieżywy.

W sierpniu 1905 wśród robót pomiarowych wpadłem na kilka godzin do domu rodziców. Z ojcem należymy do jednego towarzystwa myśliwskiego w Ł., które członkom swym pozwala na odstrzelenie w sezonie po jednym rogaczu kulą. Właśnie w domu zastaję kartke leśnego, pisaną do ojca „Rogacz jest w tem samem miejscu, gdzie pierwej się trzymał, ale ten rogacz koronę ma nadzwyczajną“, (ostatni wyraz podkreślony.) Według planu miałem na drugi dzień wracać do robót — najpierw koleją a potem końmi kilka mil. Odwołuję więc telegraficznie mój przyjazd, zawiadamiam naszego łowczego, że jutro na tego rogacza jadę i proszę o towarzystwo i konie. O pierwsze bo chodziło mi nie tylko o miłe spędzenie razem czasu, lecz i dlatego, bo ten oddział lasu i droga do niego około 11 klm. były dla mnie zupełnie nieznane. Po odesłaniu listu pierwszym pociągiem jadę do stałego mojego miejsca zamieszkania, przenocowuję, bo nie mam powrotnego pociągu, zabieram sztuciec z domu, i wracam na drugi dzień w południe do Ł. Że cały zapas obuwia miałem na miejscu robót, musiałem na to polowanie przeznaczyć sznurowane lekkie trzewiki z żaglowego płótna. W domu rodziców zastaję list od łowczego że chętnie pojedzie ze mną i przyjedzie około godziny 4-tei po południu. Około godziny drugiej zaczyna się chmurzyć a potem puszcza się deszczyk niewielki. Nadchodzi godzina czwarta, ba i piąta — a tu koni niema. Wreszcie gdy zaczyna się już ściemniać nadchodzi posłaniec z kartką od łowczego, że przybyć nie mógł bo konie swoje (wojskowe) posłał do kontroli, a te, które miały przyjść z folwarku, nie przyszły. A że jutro i w najbliższych dniach będzie służbowo zajęty, więc ów sławny rogacz niezawodnie jeszcze ten rok żył będzie. Była godzina siódma wieczór, jutro południowym pociągiem muszę wracać do robót. Trzeba działać. Więc posyłam zaraz służącego, by zamówił na drugą w nocy jakie konie. Na szczęście znalazł furmana, który zdecydował się zawieść mnie, gdzie zechcę, ale drogi sam nie zna. Przybliżonych informacyi co do tego udziela mi ojciec, ale każdemu wiadomo, co znaczą takie informacye, gdy w grę wchodzą drogi trzeciorzędne, a jechać się ma w nocy. Wiedziałem tylko, że mam dostać się do leśnego, tego oddziału lasu, a droga przechodzi poprzednio przez folwark.

Budzik na godzinę pierwszą nastawiony nie potrzebował mnie budzić, bo nie spałem już. Zbudziłem służącego i posłałem po konie, zebrałem się i na szczęście konie nie zawiodły. Wychodzę na świat, noc jeszcze głęboka, niebo zachmurzone, lecz już nic nie pada. W nocy musiało lać, bo wszędzie stoją kałuże. Ruszamy. Do folwarku szło dobrze, ale ztąd nić się gubi.

Wybieram instynktem jedną z dróg, zaczyna mnie jednak wśród jazdy ogarniać niepokój; wskazówka na zegarku pokazuje $^1/_2$ do czwartej. Mijam jakąś chatę przy drodze i w tej chwili wychodzi z niej chłop w negliżu. Pytam — „dobrze jedziecie, poza tą górą już las widać a na kraju lasu gajówka“. Weselej się robi na duszy; wio! teraz, bo już dobrze dnieć zaczyna. Dojeżdżamy wreszcie do gajówki; pies na podwórzu podnosi piekielny hałas, ja szturmuję do drzwi domu — wreszcie po długiej chwili otwierają się drzwi i leśny w zupełnym negliżu wystawia najpierw głowę. Nie poznaje mnie, lecz wreszcie rozbudził się zupełnie i raźnie wraca a po chwili wychodzi już zebrany do drogi.

Przedewszystkiem relacya o rogaczu. Melduje więc, że wczoraj wieczór rogacz późno wyszedł na konicz za lasem, ma bardzo wysokie rogi (pokazuje po łokieć na ręce), że zjawił się tu z początkiem lipca, odpędził w świat trzy rogacze, które tu przebywały, jednego na śmierć zakłuł,

a wreszcie został sam panem przy kilkunastu kozach. Dążymy do owego koniczu. Już po bardzo krótkim czasie czuję wodę w trzewikach. Wychodzimy pod kraj lasu i zaczyna się podchód. Tu już od pasa na dół zaczynam formalnie ociekać wodą. Tem nieprzyjemniej, że niebo zachmurzone, zimno, a najgorzej, że spotykam tylko kozy. Na polach już nie ma co robić, dzień już dobry, jedna jeszcze nadzieja, spotkanie w lesie, ale to przypadek. Na szczęście kompleks lasu tego nie zbyt wielki, gorzej, że są partye młodników. Liczę jednak na to, że po deszczu sarny będą leżały na otwartych miejscach. Wchodzimy w wysoki las. Jedlina bez żadnego podrostu, ani trawki pod koronami. Zmoczona ściółka, prawie czarna, zczerniała od deszczu kora jodeł, nadaje przy zachmurzonem niebie całemu wnętrzu lasu wyraz niesłychanej ponurości.

Teren wybitnie pagórkowaty, tak że oku odsłaniają się co chwila nowe zbocza. Posuwamy się drożyną po zboczy, ja uważam na lewo, leśny ma pilnować prawej strony t. j. doliny. Spostrzegam po mojej stronie leżącą sztukę, podsuwam się — koza. Wtem leśny zbliża się do mnie, chwyta za rękaw i zupełnie głośno mówi: „rogacz leży w dolinie stąd mu łeb widać“. Popatrzyłem w kierunku wskazanym, na zupełnie czystem, czarnem tle leży, z szyją wyciągniętą, łyżki nastawione, a nad łyżkami wysoka białymi końcami połyskująca korona. To „on“ szepce leśny. Gorąco mi się robi, obawiałem się, aby rogacz nie skoczył, bo tuż ciągnął się pagórek, za którym jużby przepadł. Fala krwi napływa mi do skroni, właśnie że widzę rogacza nie zakrytego, ani jedną trawką, to mi się zda utrudniać chwycenie na punkt w lunecie, wreszcie w najgorszej chwili, bo czuję, że za wysoko mierząc, ściągam cyngiel. Nie dziwiłem się, że rogacz po strzale, jak szczupak wychlusnął z legowiska i jak błyskawica znikł w sąsiednim parowie. Pomyślałem „skończyło się“. Oto bilans całej historyi: po jednej stronie tyle kłopotów i trudów, po drugiej nie tylko zero, lecz jakieś palące uczucie upokorzenia, a uczucie to z każdą chwilą opanowuje głębiej myśl i duszę. Na domiar ironii spostrzegam, że u jednego trzewika podeszwa po obcas się odpruła i robi wrażenie w wodzie otwierającego się dzióba kaczki, przyczem rozlega się głos w mlaskania. Z tą miną zgnębioną, zabłocony i przemoczony do nitki, przedstawiałem niezawodnie obraz „nędzy i rozpaczy“. A przed sobą widzę ciągle, wysokie rogi, których białe końce błyszczą, jak kość słoniowa na czarnem tle lasu. Była godzina siódma. Czas wracać, bo mam w południe koleją odjechać. Na strzał przyszedł syn leśnego i mówi, że rogacz będzie pewnie po drugiej stronie potoku. Z małą nadzieją postanowiłem jeszcze spróbować. Leśny wrócił do domu, a ja z jego synem zmierzam ku potokowi. Po drodze spotykamy leżące sztuki, same kozy. Drapiąc się pod ostatnią górę, spostrzegam przed sobą na jakie 90 kroków, sztukę. Leży bokiem, a widoczna, jak na talerzu. W tej chwili podnosi się, to koza. Zwracam się ku postępującemu za mną chłopcu i mówię „widzisz, czemu to nie rogacz“. Chłopiec wytrzeszczył oczy i szepce „za kozą leży on“. Rzeczywiście białe końce z za kozy się wychylają, ta robi krok na bok i odsłania mi pierś rogacza w chwili, gdy ten się właśnie podnosił.

W tym momencie trapiłem się w sobie, jakby to była chwila decydująca o moim losie. Punkt w lunecie spoczął na czerwonej piersi i w strzale widzę, jak rogacz upadł naprzód, potem się zerwał i po kilku szalonych skokach naprzód, zaczepiając się rogami o jodłę, padł martwy. Delektowałem się tym widokiem i czułem naprawdę nowe życie w organiźmie. Kula weszła w środek mostku, a wyszła pachwiną. Rogi 26½cm. wysokie, (bardzo regularny szóstak), dobrze uperlone z długimi jak szpilki, ostrymi, białymi końcami, wagi 325 gr.

W jesieni 1902 przebywałem w państwie Radłów. Korzystając z pogodnego dnia 29 września, wybrałem się w południe, biorąc psa, na moczary z rewirem W. od zachodu graniczące. Liczyłem na spotkanie z kaczkami i kszykami. Po godzinnej jeździe, przy ostatniej gajówce zostawiłem konie i w kostyumie do błota, udałem się najpierw do niewielkiego, z jednej strony olszyną i brzeziną zarośniętego jeziorka. Krajem tej olszyny podchodzę. Niestety, trawy już wyschły i nie kryły wody i kaczki nie wytrzymały. Wstało ich kilka na znaczną odległość, strzeliłem lecz bez skutku. Po strzale słyszę łomot w olszynce i za chwilę widzę wypadające na ugory czyste, trzy sztuki sarn. Dwie miały już suknię zimową, trzecia letnią jeszcze. Przez małe binokle, z któremi się nie rozłączam, poznaję że ta sztuka czerwona, to jakiś ogromny rogacz.

Idzie ostatni. Cały ten rudel nie zatrzymując się zwrócił się i podążył ku młodnikowi zimowemu, stanowiącemu ostatni cypel rewiru. Na nic się zdały dalsze medytacye, więc poszedłem dalej polować. Zastrzeliłem kilka kszyków i kaczkę i z dosyć obciążonymi trokami wracam ku gajówce, bo już do wieczora niedaleko a robi się zimno. W gajówce przebieram się w suche ubranie i z tem błogiem uczuciem ciepła suchego, owinięty grubym lodenem, siadam na wózek, strzelbę chowam do futerału, psa przykrywam kocem i ruszamy. Droga początkowo wiodła przez ten właśnie młodnik, gdzie sarny z pod jeziorka ruszone, poszły. Jadąc, z przyzwyczajenia pilnie obserwuję teren przydrożny i nagle w rzędzie kultury, spostrzegam czerwoną sztukę, a z boku dwie w zimowych już sukniach. Zatrzymuję konie i przez binokle zaczynam obserwować te sarny, stojące na jakie 130 kroków od drogi. Sztuki ciemne, poznaję jako kozy, sztuka czerwona stoi na szerokość, lecz łba nie widzę, bo zakrywa go niewielka brzózka. Brzózka ta jednak porusza się ustawicznie, charakterystycznie i wątpliwości już nie mam, że to „trący“ rogacz. Wreszcie podnosi się siwy łeb z profilu. Poznałem natychmiast, że to rogacz z pod jeziorka. Słabemi szkłami już poznaję doskonałe rogi i oprócz korony szerokiej, udało mi się widzieć jakąś odnogę, ku przodowi wystającą. Sądziłem początkowo, że to gałązka brzózki, lecz sposób poruszania się tego szpica wraz z rogami zapewnił mnie, że to część integralna rogów. Rogacz taki był tu nieznany, a że to pas graniczny, więc trzeba wyzyskać szczęśliwy traf, który może się już nie powtórzyć, wreszcie rogacze zrzucają już rogi.

Więc decyzya szybka. Psa na smycz i furmanowi w rękę, strzelbę z futerału, — ale czem ja będę strzelał?

Na szczęście w osobnej przedziałce torby znajduje się do mojej dwudziestki jeden jedyny nabój ze śrutem Nr. 4. Jeden więc ten nabój wkładam do lufy, a teraz plan kampanii. Sarny powoli posuwają się w kierunku od drogi. W młodniku wyraźne, proste rzędy. Wybieram rząd oddalony od tego, w którym stał rogacz o mniej więcej 30 kroków i rzędem tym schylony, trzymając w ręce strzelbę naciągniętą, — prawie biegnę. Serce bije przyspieszonem tętnem, bo już muszę być na wysokości sarn. Wtem na rzadszem miejscu spostrzegam kozę w pozycyi „baczność“; nie zatrzymuję się a za kilka sekund zadudniała ziemia; to ruszyły sarny. Błyskawicznie wypro-

stowuję się i widzę mojego rogacza, umykającego na czele. Odległość około pięćdziesiąt kroków, komora cała widoczna, pada strzał, a rogacz w ogniu ruluje, jak zając. Przybiegam — chwytam za rogi — przeszły moje nadzieje.

Korona: regularny ósmak, z rozwidleniem grzbietowych odnóg, odnogi na pniu głównym zlewają się w formalne łopaty, ponadto z prawej, głównej odnogi, ponad różą wyrasta naprzód i nieco ku górze dziesięciocentymetrowy szpic. Rogi grube, tylko od środka uperlone — listwowate, róże zupełnie daszkowate, kolor ciemno wiśniowo - brunatny z jasnymi końcami. Pomimo niewielkiej wysokości, bo $24\frac{1}{2}$ cm, waga 365 gr.

Jakkolwiek z końcem września u wszystkich rogaczy, rozpoznać można już t. zw. linię demarkacyjną, t. j. linię na osadzie rogów, to na tych rogach linii tej, ani śladu nie widać. Są to najlepsze rogi w moim zresztą szczupłym zbiorze, które sam zdobyłem, żal mi tylko, że rogacz ten padł nie od kuli, a na nią niezawodnie zasłużył.

ALBERT MNISZEK.

Przegląd naszych ptaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Jastrzębie.

(Asturinae, Habichte).

1. **Jastrząb gołębiarz**, jastrząb pospolity, kuropatwiarz, kokosznik, (Astur palumbarius, der Hühnerhabicht).

Skrzydło złożone, krótkie, ledwie do połowy ogona sięgające. Dziób bardzo krótki, od nasady mocno zakrzywiony, z ostrym końcowym hakiem. Brak wyraźnego zęba w szczęce górnej (cechy sokołów), jednakowoż szczęki tworzą mocno wydatny feston (patrz fig. 5) zbliżający się do formy zęba tego. W szczęce dolnej znajduje się ledwie widoczny ślad wycięcia. Ogon długi, mocno na końcu zaokrąglony. Ptak wielkości dużego sokoła. Długość ciała: 50 do 60 cm. skrzydła złożonego 32 do 37 cm. ogona 24 do 30 cm. Samica od samca znacznie większa.

Jastrząb gołębiarz różni się wybitnie od innych drapieżników, białym w poprzek pręgowanym spodem, podobnie, jak i jego podobizna w miniaturze — krogulec. Młody ptak ma spód rdzawo płowy, wzdłuż płomykowato kreskowany. Ogon u starego i młodego szary lub siwy, o czterech szerokich, poprzecznych pręgach.

Stary ptak ma wierzch ciała, nie wyłączając głowy, ciemnosiwy, na karku białawy. Spód ciała biały, w poprzek czarno pręgowany. Ogon szary z siwawym odcieniem o 4 pręgach poprzecznych, czarnych. Tęcza pomarańczowa. Woskówka i nogi żółte.

Młody ptak ma głowę i kark ciemnobrunatne z rudem obrzeżeniem piór, płaszcz szaro brunatny z obrzeżeniem piór jasnem. Ogon, jak u starego, tylko z wierzchu bez siwawego odcienia. Spód rudawy, wzdłuż płomykowato kreskowany. Tęcza, woskówka i nogi żółte.

Samica stara od starego samca różni się tylko wielkością, którą go znacznie przewyższa.

Gołębiarz jest stałym mieszkańcem Europy i Azyi północnej i środkowej. Gnieździ się po lasach, gniazda zakłada w grubych konarach drzew i niesie z końcem kwietnia 2 do 4 jaj, które łatwe są do poznania, gdyż wybitnie od jaj innych drapieżników się różnią. Są one w grubszym końcu nagle zaokrąglone, w drugim spiczaste, barwy białej z zielonawym odcieniem *i są bez plam*.

Jest to drapieżnik w krwiożerczości i zuchwałości dorównywający sokołom, szkodnik wielki i gnębiciel wszelkiego słabszego ptactwa, nie pogardza też w potrzebie wronami i srokami.

W starem sokolnictwie grał ptak ten wcale nie poślednią rolę.

Jako wroga największego drobnej naszej zwierzyny, *tępić go należy wszystkimi sposobami.*

2. **Krogulec zwyczajny.** Sokół krogulec, Jastrząbek, (Accipiter nisus, der Sperber).

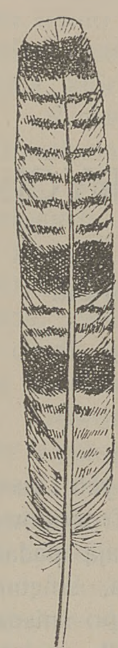
Bardzo do poprzedniego podobny, tylko znacznie mniejszy. Brak wyraźnego zęba w szczęce górnej, czem różni się od sokolików, którym wielkością dorównywa. Skrzydło bardzo krótkie. Długość ciała 30 do 40 cm., skrzydła złoż. 24 cm.

Stary samiec ma płaszcz ciemno siwy, spód biały lub rudawy, w poprzek regularnie pręgowany. Na ogonie 5 niewyraźnych pręg ciemniejszych. Tęcza żółta, woskówka zielonawa, nogi żółte. Stara samica znacznie od samca większa, ma wierzch ciała więcej szary, brew ma wyraźną, czysto białą, spód biały, rudawo szaro pręgowany.

Ptak młody zupełnie do starych niepodobny. Na płaszczu ma pióro szaro brunatne, rudawo obrzeżone. Spód jego jest biały, żółtawy, upstrzony na piersi i brzuchu ciemnemi, sercowatemi lub lancetowatemi plamkami, które na przodzie piersi przechodzą w podłużne kreski. Nogawice pręgowane lub plamiste.

Krogulec zamieszkuje ten sam obszar, co i jego poprzednik. U nas jest ptakiem stale osiadłym.

Fig. 7.



Sterówka pszczołojada.

Gnieździ się po lasach, gniazda ściele na drzewach, najczęściej na szpilkowych i kilka lat tych samych używa. Niesie w maju 4 do 6 jaj, które są na tle białem bardzo rozmaicie plamami upstrzone.

Krogulec dorównywa w drapieżności gołębiarzowi. Łowi zaciekle wszystkie słabsze od siebie ptaki, również i pisklęta większych ptaków na wiosnę.

Tępić go się powinno przy każdej sposobności.

Pszczołojad. Sokół trzmielojad, kobuz osożer, pszczołojad kaniuk (Pernis apivorus, der Wespenbussard).

Pszczołojada zaliczają niekiedy do myszołowów, jak świadczy jego nazwa niemiecka, niekiedy znowu do kań. Ptak ten jednak tyle cech oryginalnych posiada, że niewątpliwie należy do osobnej grupy, której w Europie jedynym jest przedstawicelem.

Wybitną cechą tego ptaka, od wszystkich innych drapieżników go różniącą jest to, że przestrzeń przed oczami ma pokrytą łuskowatemi piórkami, gdy u tamtych przestrzeń tę pokrywają piórka w kształcie włosków.

Łatwy też do poznania po szarym ogonie, który opatrzony jest trzema lub czterema szerokiemi, poprzecznemi, czarniawemi pręgami, między któremi znajdują się drobniejsze i nie tak ciemne prążki (fig. 7.).

Upierzenie tego ptaka bywa tak rozmaite, że trudno je opisać. Jest ono zwykle całkiem brunatne z czarniawemi,

podłużnemi kreskami, na spodzie ciała i karku. Trafia się też często spód ciała całkiem biały, lub biały z ciemno brunatnemi kreskami.

Młode ptaki są również rozmaicie upierzone, odznaczają się jednak żywszą zwykle pstrocizną na skrzydłach i żółtą woskówką, gdy u starych jest ona czarniawą. Tęcza u starych żółta, żywo zabarwiona, u młodych siwo brunatna. Wnętrze paszczy i nogi żółte. Długość ciała: 52 do 56 cm., skrzydła złożonego 37 do 44 cm., ogona 24 do 30 cm.

Ojczyzną jego jest północna i środkowa Europa, tudzież zachodnia Syberya. Na zimę odlatuje do Afryki. Jest więc ptakiem przelotnym. U nas zjawia się z końcem kwietnia i w drugiej połowie września już odlatuje.

Gnieździ się najpóźniej ze wszystkich naszych drapieżników, bo z końcem maja lub w początkach czerwca. Gniazda ścieli po drzewach w lasach liściastych. Znosi zwykle 2, czasem 3 jaja bardzo charakterystycznie zabarwione, od jaj innych drapieżników łatwe do odróżnienia. Skorupa ich czysto biała, jest jakby niejednostajnie i niezgrabnie zamazana rdzawym, rdzawo czerwonym, lub orzechowym kolorem. Rzadkie bardzo są jaja, u których na jednym końcu pozostaje pewna przestrzeń niezamazanej, białej skorupy.

Pożywienie pszczołojada stanowią głównie pszczoły, osy i trzmiele w stanie larw, dalej myszy, żaby, szarańcze i inne owady, czem wielką przysługę robi kulturze lasów i rolnictwu. Wybiera też z gniazd i drobne śpiewaki a nawet i młodym nie gardzi zajączkiem. W każdym razie jest więcej pożytecznym, niż szkodliwym, a dla łowiectwa prawie obojętnym i *zasługuje na bezwarunkową ochronę.*

(C. d. n.)

„ŁOWIEC POLSKI“.

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE

1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

Hassani zabija prześlicznego ptaka o zielonych i czerwonych barwach (*Harpactes* — z rodzaju Trogonów). Z chwilą, gdy pierwsze krople deszczu zaczynają padać, wracam szybko do obozu, gdzie zastaję Henryka, smętnie zainstalowanego, w szałasie z bagażami. Zaraz po śniadaniu przenosimy się do jego namiotu, gdyż po kilku wstępnych grzmotach, straszna burza nadciąga. Pierwszy powraca braciszek, zmoknięty do ostatniej nitki, lecz przynajmniej widział tropy słoni w lesie. Guy powraca jeszcze więcej przemoknięty; strzelał on do kongonisów i do zebr. w chwili, gdy burza zdawała się przeciągaać bokiem; lecz być może, wskutek silnego wstrząśnienia powietrza, wywołanego silną detonacyą ekspresu cal. 450, wiatr zmienił swój kierunek i napędził nam burzę. Wobec tych błyskawic i piorunów, gdy strzelby służyły zamiast piorunochronów, położenie musi być wielce nieprzyjemne, jak również pod juniperusami, z których wiele zostało poszarpanych przez pioruny. Guy przyznaje, że miał porządnego strachu przez ciąg tej strasznej nawalnicy.

Pokrywamy grubem płótnem rusztowanie przyszłej naszej sali jadalnej, gdyż nie było czasu na pokrycie jej słomą. Tworzymy tym sposobem doskonałą izbę. Rozpaliwszy duży ogień u drzwi wchodowych, otuleni w nasze płaszcze, możemy nareszcie rozgrzać swe członki.

2 sierpnia. Guy i braciszek wyruszają o 7 rano, ja zaś robię małą ekskursyę na równinie, lecz wracam, zabiwszy jedynie małego ptaszka o czarnem i białem ubarwieniu. Guy powraca, przynosząc trzy piękne papużki, poczem zjadłszy naprędce śniadanie, prowadzi nas do wspaniałej części lasu, którą mamy podziwiać. Znajdujemy tam resztki obozu N'dorobo, lecz ci barbarzyńcy pościnali najpiękniejsze drzewa, aby zrobić z ich wydrążonych pni rodzaj kominów. Wracamy szybko do obozu, aby uniknąć burzy, ktora jednak przeszła bokiem. Zajmuję się preparowaniem zdobyczy przyrodniczych przy cieple olbrzymiego ogniska, gdyż jest zaledwie 9 stopni powyżej zera. Guy robi znów nagankę na równinie, lecz bezskutecznie. O 6-tej zbieramy się na obiad.

3 sierpnia. Wyruszamy wszyscy o 7 rano, na naszych wierzchowcach, aby zająć równinę, gdzie się znajdują kongonisy i zebry. Pierwszą nagankę robiny na stado zebr. Prawe skrzydło, prowadzone przez Hassaniego, posuwa się zbyt szybko, lecz błąd ten naprawia Ongwatoha, który szybkim ruchem odcina drogę zebrom w chwili, gdy już je uważaliśmy za stracone. Przemykają one względnie dość blizko od Guy'a który je wszelako chybia z przyczyny niebezpiecznej pozycyi naganki. Zabawnie było patrzeć, jak następnie te ośm zebr zatrzymało się z głowami podniesionemi, rozmyślając, co mają dalej robić; nareszcie, zdecydowawszy się, ruszyły ostro na prawe skrzydło, gdzie, mimo krzyków i machań naganiaczy, sforsowały linię obławy.

Ruszyliśmy wtedy na kongonisy. Naganka zapowiadała się jaknajlepiej, gdyż obławnicy, oprócz nich, zajęli także inne stado zebr, 2 szakale srebrzyste i 2 marabuty[1]), gdy na nieszczęście gęsta mgła szybko zaczęła pokrywać okolicę w chwili, gdy kongonisy pędziły o 200 metrów od Guya w kierunku misyonarza, który, widząc, że idą wprost na Henryka, puścił je bez strzału. Widocznie jednak nie był to nasz dzień, gdyż Henryk, z chwilą pojawienia się mgły, wyjął z luf ładunki, i mógł tylko patrzeć na przemykające o 30 metrów, stado antylop. które wykręciły się z tej afery z małym strachem.

Po tem niepowodzeniu, z trudem zwołaliśmy naszych tragarzy i wróciliśmy do obozu. Tutaj zrobiliśmy bardzo smutne odkrycie. Henryk, wyjmując klisze fotograficzne z opakowania, spostrzegł, iż wszystkie są zepsute przez wilgoć. Prawdopodobnie trociny, w których je opakowano, były nie dość suche. Niewątpliwie dla fotografa tak drobiazgowego, jak on, był to wypadek nader przykry; wyraziliśmy też mu nasze szczere współubolewanie.

4 sierpnia. Łowcy, których nam obiecał przysłać pan „kolektor“, nie przybyli jeszcze; niemniej decydujemy się ruszyć dalej. Opuszczamy obóz przy jaskrawych promieniach słońca, które mogło się było pojawić o cztery dni wcześniej. Urocza droga prowadzi pomiędzy równiną a la-

[1]) Marabuty — wielkie ptaki z rodziny bocianowatych. (Przyp. tłóm.)

sem. Widzimy niezliczone tropy nosorożców i słoni, spuszczające się z gór; wszystkie jednak są stare.

Po sześciogodzinnym marszu, przybywamy na miejsce naszego obozowiska, gdzie, mimo 2,630 mtr wysokości, mamy 19 stopni powyżej zera, a przytem wesołe słońce i piękny błękit nieba.

Kassaba zabija ptaka o ubarwieniu zielonem, niebieskiem i czerwonem *(touraco)*, którego preparują aż do przybycia karawany, a wraz z nią osławionych N'Dorobo. Szukali oni napróżno słoni, lecz mają zamiar rozpocząć na nowo swe poszukiwania.

5 sierpnia. Ranek spędzamy na oczekiwaniu kuryera, który nareszcie przybywa. Jeden z nasych N'Dorobosów nadchodzi z wiadomością, że znalazł tropy słoni. Wyruszam z nim na poszukiwanie Gu'a, lecz widok jednego z najpiękniejszych gatunków wdówki[1]) *(Chera progne)* zmusza mnie do zaniechania tego zamiaru; wolę gonić za tym pięknym latawcem.

Hassani'emu udaje się nareszcie zabić jednego z tych cudnych ptaszków, lecz na nieszczęście spada on w sam środek strasznych pokrzyw, rosnących na miejscu dawnego kraalu Masajów, skąd Hasani wydobywa go, jęcząc i przeklinając. Niepodobna jest opisać wrażenia, jakie sprawia na nas lot tych uroczych ptaszków.

Hasaniemu udaje się nadto zabić jednego bekasa; zapominamy o zebrach, strusiach, kongonisach i t. p. zwierzynie. Powróciwszy do obozu, zastaję oczekującego na mnie Guy'a, który ma się udać na poszukiwanie misyonarza. Ten ostatni dał znać przez Filipa, że wytrzymał szarżę dwu nosorożców, z których jednego ranił; drugi pozostał przy ranionym. Jak się pokazuje, Guy szedł za temi samemi nosorożcami przez cztery godziny, lecz zmylił tropy i poszedł za dwoma słoniami — samicą i młodym, a to z winy swych strzelbonośców. Za karę pozostawia ich w obozie, zamiast brać ich na „pogrzebowe".

Wyruszamy wszyscy troje, wziąwszy z sobą dwudziestu tragarzy. O godzinie kwandrans na czwartą braciszek przyjmuje nas wiadomością, że drugi nosorożec czuwa ciągle przy swym ranionym towarzyszu. Ja pozostaję w tyle, zajmując doskonałą pozycyę do obserwacyi; jest to wielka równina, nieco falista i kompletnie obnażona. Guy tymczasem, podszedłszy na 100 metrów, strzela do zwierza, który zaraz po strzale rusza kłusem, zatrzymując się, ryjąc w szalonym gniewie ziemię, z ogonem do góry postawionym, gotów do szarży, lecz wiatr ma przeciwny, a dobrze skierowana kula z cal. 450 kładzie go na ziemi. Strzał w głową z paradoksa na 2 metry odległości przecina wątłą nić jego żywota, dając dowód, że broń ta w razie szarży jest najzupełniej odpowiednią.

Spostrzegłszy upadek wielkiego gruboskóra, szybko dosiadam muła i zastaję Guy'a w chwili, kiedy już mierzył swą zdobycz. Jest to bardzo duża samica. Wkrótce też nadchodzą nasi tragarze kikuye, którzy naprzód już łykają ślinkę na widok zabitej sztuki; co zaś do Swahilisów, to mają oni zamiar poderżnąć gardło ranionemu nosorożcowi, aby zadość uczynić swym rytualnym wymaganiom. Kierujemy się więc do tej sztuki, stojącej nieruchomie o 300 metrów dalej. W samej rzeczy godnem jest uwagi przywiązanie tych zwierząt do siebie! Ta druga sztuka musi mieć kulę pod krzyżami, gdyż po pierwszym strzale Henryka na 20 metrów, ma ochotę szarżować, lecz napróżno robi wysiłki. Druga kula, bardzo zimno strzelana, kładzie ją trupem na miejscu. Jest to również bardzo duża samica, lecz rogi ma słabe.

W pewnej odległości widać olbrzymie stado zebr Ponad zadrzewionemi górami, wyłania się obnażony szczyt Kinanliop, dominujący nad okolicą; zachodzące słońce oblewa całą równinę czerwonem światłem. Do obozu wracamy już przy świetle księżyca. Pijemy *whiskey* z powodu jutrzejszej uroczystości i wesoło zasiadamy do obiadu.

6 sierpnia. Wczesnym rankiem Guy zabiera się do preparowania głów, nóg i skór obu nosorożców. Ozory, wątroby i ogony kazaliśmy ugotować. Ja tymczasem preparuję ptaszki. W południe nadciągają N'Dorobosy, nie znalazłszy świeżych tropów słoni. Rozmowa z nimi jest bardzo skomplikowana, gdyż Guy musi mówić po francusku do braciszka ten tłumaczy następnie Filipowi na język Swahili, a dopiero Filip powtarza to w dziwnym języku Masai-Dorobo, który jest chyba jeszcze bardziej rozwlekły, aniżeli inne narzecza tej okolicy. Nic nie jest w stanie poruszyć pełnego godności zachowania się tych dzikusów, ani też ich obojętności, noszącej pewien odcień wzgardy. Ostatecznie stanęło na tem, że Guy wyrusza jutro z nimi na poszukiwanie słoni.

7 sierpnia. Wyruszam z obozu wraz z Guy'em o godzinie 7 rano. Idziemy przez dwie godziny bardzo piękną drogą, spotykając w marszu koba *(Cobus ellipsiprimnus)*, nosorożca, a nadto zebry i strusie. Ponieważ nie brak tropów słoni, przeto Guy decyduje się iść dalej, gdy ja wracam, aby wyprawić mały obóz lotny, któremu towarzyszy z przyjemnością nasz misyonarz.

O godzinie 4-ej wyruszamy z Henrykiem na naszych wierzchowcach z zamiarem zrobienia małej promenady po równinie; wszędzie widać zebry, strusie, dropie, zające, lecz mimo to, wracamy z niczem. Przyspieszamy kroku, widząc nadchodzącą burzę. Na obiad mamy ozór nosorożca, który znajdujemy wyśmienitym.

8 sierpnia. Wyruszamy o godz. 8-mej, z zamiarem wzniesienia się w górę, jak można najwyżej. Droga prowadzi wpośród wspaniałych juniperów i bambusów, powalonych przez słonie w najrozmaitszych kierunkach. O godz. 3 min. 15 zatrzymujemy się na niewielkiem płaskowzgórzu, które zdaje się służyć za podstawę Kinankopu. Wszyscy zajęci są rozpakowywaniem śniadania w chwili, gdy nadciąga wielka karawana Kikuyu, kierująca się do Naivashy z fasolą na sprzedaż.

Dowódca karawany z lancą w ręku podchodzi do nas, aby wygłosić wielką mowę, którą nam jako tako tłumaczy Yusuf. Główną treścią tego dyskursu jest stwierdzenie serdecznych stosunków, jakie teraz panują między plemionami Swahili i Kikuyu. Dostaję trochę patatów w prezencie.

Wkoło nas wszędzie widać odciski nóg słoniowych; nawet woda, którą bierzemy na herbatę, pochodzi z jednej z takich jam; jest to prawdziwa studzienka, wysłana mchami.

Na nieszczęście w trakcie śniadania zaczyna padać zimny, jak lód, deszcz, a mgła pokrywa całą okolicę. Nie pozostaje nic innego, jak wracać go obozu. W powrotnej drodze Hassani zabija dwie kuropatwy. Spadki gór od deszczu stały się nadzwyczaj ślizkie. Spotykamy masami niewielkie fijołki, a wszędzie czuć zapach złotojeści; mnóstwo też koniczyny, gwiazdośców i... cierni.

9 sierpnia. Nasi ludzie zajęci są preparowaniem orła, a ja tymczasem przez dwie godziny uganiam się za kobem

---

[1]) Rodzaj ptaszków, zbliżonych do wróbli, a których samczyki odznaczają się wspaniałym, długim ogonem. (Przyp. tłóm.)

(duża antylopa) w pośród gaików, które otaczają naszą łąkę.

O godzinie 4-ej nadchodzi Guy z misyonarzem: zasiadamy do obiadu, aby wysłuchać ich opowiadania. „Obozowali oni przez dwie noce o godzinę drogi od naszego dawnego obozowiska w Djebine. Tropili od godziny 7-ej rano do 2-ej po południu cztery słonie, które w wilię tego dnia wieczorem przeszły w blizkości ich obozu, następnie skręciły do bambusów i wyszły na Kedong, omijając ledwo o 150 metrów dawny nasz obóz, gdzie w tej chwili igrało stado babuinów, z 50-ciu sztuk złożone, które jednak zejść się nie dało. Ponieważ N'Dorobosy utrzymywali, że wszystkie słonie wyniosły się ze skłonów Kinankopu. Guy zdecydował się wracać nazajutrz do nas. Na chwilę przed przybyciem nad strumień, odległy o dwie godziny drogi od naszego obozowiska, Guy usłyszał trąbienie słoni u samych stóp Kinankopu.

N'Dorobosy buntują się i nie chcą się ruszyć z miejsca u wejścia do bambusów, gdy tymczasem Filip i Kimani włażą na drzewo, aby ztamtąd obserwować okolicę. Wówczas zaczyna się dla Guy'a, dla misyonarza, dla Ongwatohy i dla Kassaby prawdziwa gra w ciuciubabkę ze słoniami, która trwała przez cztery godziny. Za pierwszym razem spostrzegli na 120 metrów wspaniałą samicę, która, stojąc do nich na sztych na skłonie góry, podniosła trąbę, wietrząc niebezpieczeństwo. Był to podobno piękny widok. Później znów cztery, czy pięć razy znaleźli się o kilkanaście ledwie kroków od słoni; słyszeli za każdym razem trzask bambusów, lecz słonie spostrzegali dopiero, gdy się już pięły na skłony góry. Nie ma się pojęcia, jak te lasy bambusowe są gęste. Wreszcie po trzygodzinnym marszu po świeżutkich tropach, widząc co chwila gorące jeszcze wydzieliny słoni, wpadli nareszcie na młodą samicę z dzieckiem, która ruszyła z kopyta, zwietrzywszy niebezpieczeństwo. W przypuszczeniu, że w blizkości muszą się znajdować inne słonie, nasi myśliwi poszli jej tropami, gdy oto po kilku minutach Guy znalazł się w obecności tejże samicy ledwie o 20 metrów. Rozjuszony zwierz wzniósł trąbę do góry, nastawił swe olbrzymie uszy i poszedł groźnym kłusem na myśliwych. Nie chcąc pod żadnym pozorem zabić samicy, mimo wyjątkowej potrzeby obrony życia, Guy był zmuszony zrobić pół obrotu i skryć się w najbliższej ścieżynce. Misyonarz rzucił się w bok i znalazł się jak raz z drugiej strony tego samego krzaku, za którym Guy się zatrzymał, aby chwilę odetchnąć i aby nie wpaść na inne słonie. W tej chwili niebezpieczeństwa mąż mój ukląkł na jedno kolano i zmierzył się ze swego cal. 450. Była to chwila niepodobna do zapomnienia i prawdziwie wzruszająca: słoń zatrzymał się prawie nad samym misyonarzem, zwrócony frontem do Guy'a, z trąbą wzniesioną do góry, wietrząc powietrze. Na szczęście nasi myśliwi byli tak blizko i tak znacznie niżej do wylotu tej trąby, że odwiatr ich nie doszedł prawdopodobnie zwierza, który po chwili zawrócił i odszedł spokojnie...

Powinszowawszy sobie wzajemnie, Guy i misyonarz polowali dalej przez trzy kwandranse czasu, lecz bezskutecznie: słonie uchodziły przed nimi. Kimani mógł je przeliczyć ze zwego drzewa: były tam 2 samice, 2 małe samce i jedna sztuka niepewna, może samiec, lecz mogła to być również samica, którą widziano poprzednio na skłonie góry“.

Straszna ulewa, a następnie wspaniały zachód słońca towarzyszyły temu wzruszającemu opowiadaniu, wypowiedzianemu przy wesoło trzaskającym ogniu. Na pamiątkę tej wyprawy zachowałam sobie pęczek różowych nieśmiertelników. Zachwycam się po raz ostatni zalesionym wąwozem „Gojito-Aberdarf“, który mamy przebyć nazajutrz, poczem, zjadłszy doskonały obiad, udajemy się na spoczynek.

Korespondencye.

O stosunkach łowieckich w Trembowelskiem.

Opisawszy w Nr. 5-tym konfiguracyę lasów w tut. powiecie, a w Nr. 9-tym „Łowca“ z r. b. tutejsze polowania kniejowe, chcę niniejszem wspomnieć jeszcze o polowaniach w polu, które jako dla każdego z myśliwych nie stale w pewnej miejscowości osiadłych, łatwiej przystępne, przez dzierżawę polowań gminnych, stanowią często główne pole do popisów myśliwskich.

Nie chcąc zanadto się rozpisywać i opisywać tego, co mutatis mutandis w każdej okolicy niemal bywa t. j. zwykłych polowań w polu i na terenie zwyczajnym, poświęcić pragnę tych słów kilka opisowi polowań na stepach: Strusowskim i Zazdrościańskim. Przyjrzawszy się karcie specyalnej powiatu trembowelskiego, widzimy, że przestrzeń wielka pól między wsiami Zazdrością *) i Pantalichą powiatu trembowelskiego, a miejscowością Złotniki i Sosnów powiatu podhajeckiego, nosi nazwę powyż wspomnianych stepów.

Przestrzeń ta kilkunastotysięcznomorgowa, w znacznej części należąca do pana hr. Józefa Gołuchowskiego nie ma osad, tylko kilka folwarków (Albertówka, Dolne i Górne Popławy i inne), do których pola te są przydzielone. Nie są to dziś stepy w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo są one niemal wszystkie już uprawne; ciekawy to jednak i po dziś dzień obfitujący w zwierzynę teren. Ciekawym terenem nazywam te stepy, bo są one równiną bez wzgórz, wskutek czego brak im właściwej charakterystyki Podola; obfitują w liczne jeziorka mniejsze i większe, wysychające w ciepłej porze roku i takie, które nawet w suche lata, wody mają podostatkiem. Jeziorka te noszą różne nazwy: Dejowe, Sine, Cyganowe, Komisarka, Żarówka, Benderowe, Bohatkowieckie, Bieniawskie, i t. d. Na tych to jeziorkach przebywa ptactwo błotne i wodne rozmaitych gatunków: kaczki krzyżowe, cyranki, podgorzałki, dalej kuliki, kszyki, dubelty, na wiosnę zaś i jesienią dzikie gęsi zapadają na nie w przelocie. Żóraw na stepie jest dość pospolity i łatwo spotkać się można wiosną i jesienią ze stadkami mniejszemi i większemi tych pięknych ptaków. Stepowe kulony, setki czajek i rozmaite odmiany większych i mniejszych jastrzębi, ponadto zwykli mieszkańce pól: kuropatwy, przepiórki i chróściele, a wreszcie zając i w oczeretach lis, to wszystko w stosownych porach roku znaleść można na tych stepach.

Mają te stepy swój odrębny po dziś dzień charakter i urok — to też nic dziwnego, że i mają myśliwych, któ-

*) O wsi Zazdrości znajduje się wzmianka w „Zapiskach ornitologicznych“ hr. K. Wodzickiego na stronicy 41-szej. — (Przypisek korespondenta).

rzy za nimi tęsknią, do nich przywykłszy. Odrębne tak od kniej przestronnych, tak wręcz przeciwne, że pierwszy raz w nich polującemu, robią wrażenie, że nigdy w tem polowaniu nie zasmakuje, mają przecież tę z kniejami wspólność, że i tu nie ma co robić bez przewodnika.

Niejedne bowiem jeziorko większe przejść można w wodzie powyżej kostek, a w drugiem małem się utopić, jakoteż i to, że nie wszystkie ulubione są przez kaczki. Przekonałem się o tem dowodnie, że z niejednego obiecującego jeziorka żadna kaczka nie porwała, chociaż dokładnie je z psem przeszukałem, co mi przewodnik przepowiedział, podczas gdy inne niepokaźne, zgotowało mi niespodzianki.

Najwięcej ożywiony przez zwierzynę bywa step wczesną wiosną i jesienią, gdy rok pomyślny, t. j. mokry. I w tem główna przeszkoda, bo step to Podole, a jak rozmoknie, to trudno doń dobić i trudno się na nim poruszać.

Jeśli się zważy, że na taką wycieczkę trzeba się wybrać na dzień cały, że wyjeżdża się do dnia, a wraca zwłaszcza jesienią po nocy, że nieraz za pogody wyjeżdża, a później deszcz w ciągu dnia utrudnia polowanie według przysłowia: „suchy rybak, mokry strzelec, nie ma co wziąć na widelec“ i nawrócić do domu trzeba, ponadto jeśli się o 20 kilom. od stepu mieszka, to częste przeszkody łatwo pojąć. Jeśli się jednak wszystko pomyślnie złoży i szczęście sprzyja, to taki dzień na stepie prawdziwa rozkosz. Z dni takich dwa tylko przytoczę na przykład.

W sierpniu r. 1904 w czasie ciągów kaczek, przyjechałem na step wieczorem, w towarzystwie kilku panów.

Upatrzywszy dwa jeziorka, podzieliliśmy się na dwie grupy; ja zająłem jedno, moje towarzysze drugie i zasiedliśmy na ciąg.

Wieczór był śliczny, księżyc przyświecał. Z zapadającym zmrokiem siedząc w oczerecie nad jeziorkiem, usłyszałem lot stadka większych ptaków — nisko leciały — strzeliłem 2 razy; dwa ptaki spadły. Za chwilę stado to samo nawróciło i znów leciało mi po nad głową, strzeliłem znowu dwa razy i ubiłem 3-cią sztukę. Gdy stadko to znikło, zaczął się właściwy ciąg kaczek.

Pojedynczo i po dwie zapadały one na jeziorku i ginęły od moich blizkich strzałów. Po niespełna godzinie ciągu, miałem upolowanych 6 cyranek, 1 kulika i 3 kulony wielkie, stepowe, do których dałem pierwsze cztery strzały, przed rozpoczętym ciagiem kaczek.

Z końcem kwietnia r. 1906 otrzymawszy wiadomość, że na stepie jest wiele żórawi wybrałem się wczesnym rankiem, by zapolować na te piękne ptaki.

Kilka widziałem ich stadek i kilka razy strzelałem, ale bez skutku.

Tak przeszedł dzień cały na objeździe stepu, w poszukiwaniu za żórawiami i ich podjeżdżaniu.

Pod wieczór, gdy słońce już zachodziło, ujrzałem zdala na pagórku kilka zórawi na czatach, więc skierowałem ku nim mój wózek. Aby się do nich zbliżyć, musiałem drogi nałożyć, ponieważ w tej stronie o dojazd trudno było.

Po $^{1}/_{2}$ godzinnej lub dłuższej jeździe, dostałem się w pobliże czat żórawi na wysokość pagórka i oto wspaniały moim oczom przedstawił się widok: na dolinie pod pagórkiem zobaczyłem nie stado, ale kilka lub kilkanaście stad razem zebranych, nie rachowałem ich, bobym się był nie dorachował, ale z pewnością było tam zebranych 200 do 300 sztuk żórawi. Widocznie ptaki na wspólny nocleg obrały sobie to miejsce. Żadnego w tym dniu nie ubiłem żórawia, ale jazdy dalekiej nie żałowałem, bo nie zawsze można coś podobnego widzieć na tle zielonością pokrytych pól, przy ostatnich blaskach zaszłego słońca, tak liczne zebranie wielkich i wspaniałych ptaków.

Jak cudownym terenem myśliwskim były te stepy przed kilkudziesięciu laty, gdy osady ludzkie były jeszcze rzadsze i gdy pola dzisiejsze były jednym kobiercem wysokich i bujnych traw i ziół, których resztki tu i ówdzie się jeszcze spotyka, łatwo sobie przedstawić.

Mój przewodnik opowiadał mi, że ojciec jego polując ze skałkówką, nie strzelał nigdy do pojedyńczej kaczki tylko do stadka; mówił mi również, że na jeziorku zwanem „Dejowe“, zastrzelił przed 40 laty żbika. Sarny jeszcze przed kilku laty zjawiały się na tych stepach — obecnie już ich nie ma, a miniona sroga zima z pewnością do zwiększenia się zwierzostanu zajęcy i do pojawienia się na stepach sarn, nie przyczyni.

Step więc się zmienia i zmienia zwierzostan na nim, przed ludźmi i kulturą roli jak wszędzie ustępuje.

W r. 1905 i 1906, pan hrabia Gołuchowski przystąpił do drenowania i przeprowadził je na większej części swych obszarów — tam więc, gdzie siedzibę miały dotychczas bekasy, bujne plony pokrywają osuszoną glebę.

* * *

Chcąc zakończyć niniejszą korespondencyę, zaznaczę, że wspomniane po przyjeździe na Podole, marzenia moje o polowaniu na dropie i z chartami zawiodły mię. Dropie obecnie tak są tu rzadkie, że chociaż wiele jeździłem i ciągle się o nie dowiadywałem, nie widziałem dotychczas w Trembowelskiem przez 3-letni czas pobytu dropia i nie słyszałem, by w czasie mojego w tym powiecie pobytu, ktoś z myśliwych dropia ubił.

Polowanie z chartami zdaje się wkrótce wyjdzie z używania, podobnie jak polowanie z sokołem na ptactwo. W całym tutejszym powiecie polowanie to uprawia jedynie, o ile mi wiadomo, p. Ottomar Baborski w Łozówce. Zresztą nie słyszałem, by prócz p. Baborskiego, ktoś jeszcze drugi charty posiadał i z nimi polował.

Psy „Hariery“ utrzymuje stale i poluje z nimi p. hrabia Józef Bolesta Koziebrodzki w Semenowie. Od kilku miesięcy mają również 3 sfory „Harierów“ oficerowie 2-go pułku dragonów w Trembowli. Psy te jeszcze nie były tu używane, a bieg myśliwski, jaki ci panowie bez psów w dzień św. Huberta w listopadzie r. 1906 urządzili, a w którym to biegu brałem czynny udział, był jedynie zabawką dla wypróbowania koni — nie właściwym biegiem myśliwskim. Prócz wyż wspomnionych, niewiadomo mi, by kto „Hariery“ posiadał i z niemi polował. Na ten zanik polowań z psami wpływają zapewne między innemi przyczynami, wygórowane czynsze polowań gminnych, które dochodzą aż do kwoty 400 kor. rocznej należytości.

(Czynsz dzierżawny roczny polowania gminnego w Łoszniowie wynosi 318 kor. 51 h., czynsz dzierżawny polowania w Krowince 400 kor. 10 h.).

Poruszając tę sprawę, muszę wyrazić moje zdumienie, dlaczego panowie dzierżawcy polowań gminnych, tak rzadko korzystają z dobrodziejstwa §. 29 ustawy łowieckiej z dnia 5. marca 1897 dz. u. kr. Nr. 71 i zamiast w drodze ugody umówić się ze zwierzchnością gminną o czynsz na dalsze sześciolecie, dopuszczają do rozpisania publicznej licytacyi, której wyniku przewidzieć trudno, a zmienić jeszcze trudniej.

Na zakończenie tu dodam, że w Trembowli jest towarzystwo łowieckie, słabo prosperujące. W skład jego wchodzą urzędnicy. Towarzystwo na razie dzierżawi trzy gminne polowania: pola trembowelskie, boryczowskie i wolickie i liczy 8-miu członków. Należenie do towarzystwa tego, umożebnia polowanie na najbliżej Trembowli położonym terenie, a korzysta się z niego, gdy na dalsze wycieczki czasu niema.

Przed kilku laty nabyłem Schönauera cal. 6·7 u śp. A. Dzikowskiego. Zrobiwszy z niego w lecie 1906 r. kilka obskurnych pudeł do kozłów na Bukowinie, zacząłem już tracić wiarę w tą doskonałą broń. Pod koniec stycznia br., gdy polowań kniejowych, niezbyt tu zresztą licznych, serya się skończyła, urządziłem sobie kilkorazowy „Pürsch“ na zające z Schönauerem w polu, na gruntach trembowelskich.

Ubiwszy dwa zające, jednego na 144 kroków, drugiego na 180 (strzelałem bez lunety) nabrałem ponownie przekonania, że co Schönauer, to Schönauer, i że lepszej broni kulowej nie ma.

Na tem kończę moją korespondencyę, niezbyt może barwnie skreśloną; znajdując w szpaltach „Łowca“ tłómaczenia z „Niedeka“ pomyślałem, że znajdą się jeszcze łaskawi czytelnicy, krajowych stosunków ciekawi i to mię spowodowało do jej napisania.

Roman Balko.

Batiatycze, 15. czerwca 1907.

Piszę, leżąc z kulą w nodze z rewolweru systemu Hammerless (tak zwana pewna broń) kupiona w pierwszorzędnym magazynie. Podaję to dla przestrogi innych, którzy taką pewną broń posiadają, że mimo zamknięcia lub nie zamknięcia szpery, rewolwer wypali, jeżeli tylko pociśnie się kurek, uderzający sztyft. Zrobione bowiem zapóźno próby przez licznych fachowców, dały niezbite dowody.

Smutno na polach, żyta przeorane a to najszybsza ochrona dla młodej zwierzyny różnej kategoryi przed rabusiami i zmianami atmosfery galicyjskiej.

Stan sarn i zajęcy, o ile sprawdzić mogłem, słaby, kuropatwy, ledwie kilkanaście stadek spodziewanych, co nie zginęły z rąk chłopstwa, które podczas strasznej zimy setkami je mordowało.

Czasem odezwie się przepiórka lub derkacz, błotnego ptactwa rzadko, najlepszy jeszcze stan cietrzewi, przeważnie kogutów.

Tok wiosenny był niepomyślny, zimno, deszcze, ogromne wody po łąkach i lasach, mimo to 17 kogutów padło od nieustraszonych niczem amatorów, jak rotmistrze baron Rhemen, Rödlich, Żakiej, hrabia Michałowski.

Jakby jaki grom podziemny, słyszy się o różnych zmianach ustaw na niekorzyść myśliwstwa. Pomijam już myśliwstwo jako ostatnią rycerską spuściznę po ojcach, lecz biorąc sprawę jako gałąź bardzo ważną majątku krajowego, co już i na wpół dzikie narody uznały, to nasuwa się smutne pytanie, czy w obecnych stosunkach galicyjskich i ta reszta zwierzyny nie jest skazaną na zagładę. Daj Boże, bym się omylił, a ty święty Hubercie bądź nam do pomocy!

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

KRONIKA

Jak sobie radzić przy strzale ze sztućca, w braku oparcia. Przy strzelaniu ze sztućca na daleką metę, szczególnie przy używaniu lunety, lub przy strzelaniu do drobnego objektu np. do siedzącego na drzewie ptaka, oparcie broni o jakiś stały przedmiot gra ważną rolę w celności strzału.

Nie zawsze myśliwy jest w tem położeniu, że może broń swą oprzeć o drzewo lub o jakiś inny przedmiot.

Ażeby więc strzał sobie ułatwić, musi myśliwy w inny sposób zastąpić brak przedmiotu, na którymby broń oparł.

Można to uczynić w trojaki sposób:

1. Strzelać siedząco, a lewy łokieć oprzeć o lewe, podniesione stosownie, kolano. Rzadko jednak kiedy teren na to pozwala, albowiem zwykle myśliwy z siedzącej pozycyi zwierza nie widzi, gdyż go zasłaniają krzewy i trawy.



2. Laskę myśliwską lub każdą inną wkłada się rękojęcią do kieszeni, ostry jej koniec ujmując piątym i czwartym palcem lewej ręki wysoko, tak, by przy celowaniu lufę sztućca oprzeć na reszcie ręki i w ten sposób stworzyć sobie punkt oparcia.

Także strzelać można, używając długiego kija, tak zwanego „Bergstocka“.

3. Trzecim sposobem, najlepszym i może najłatwiejszym, bo zawsze możliwym do zastosowania, jest użycie paska od strzelby, jako punktu oparcia. Pasek zakłada się około głowy, jak załączona rycina uwidocznia, a ten naciągnięty wraz z lewą ręką, daje przy celowaniu znakomite oparcie i ułatwia niesłychanie strzał. Zwykle paski są za długie, by mogły odpowiedzieć wyżej wymienionemu zadaniu, należy je więc przedtem wypróbować i odpowiednio skrócić.

A. M.

Dział kinologiczny.

Cechy rasowe psów myśliwskich.

(Ciąg dalszy.)

Niemiecki wyżeł długowłosy.

1. Wygląd ogólny. Najczęściej ponad średnią wielkość (około 60 cm. miary zasadniczej) wyżlice nieco niższe, silne, o budowie trochę wydłużonej, kadłub mniej baryłkowaty niż u psa krótkowłosego.

Przy spokojnem kroczeniu głowa i szyja miernie wzniesione, ogon do połowy trzymany prosto, potem łagodnym kabłąkiem wznosi się do góry.

Włos łagodnie falując zwisa po obu stronach ciała. Wyraz rozumny, wesoły i dobroduszny. Chód lekki, stąpanie pewne, bezszmerne.

2. *Głowa* wydłużona, nie ociężała, górna część głowy szeroka, łagodnie sklepiona, odstęp przed nosem nie nagle wyskakujący, lecz zwolna występujący, kość tyłogłowia i nasada karku zaznacza się ostrzej, niż u psa krótkowłosego. Grzbiet nosowy nie za szeroki, widziany z boku przedstawia się prosty lub bardzo mało sklepiony. Wargi dobrze zapadające, z wyraźną fałdą w kącie ust. Chwyt nie za krótki, z przodu widziany przedstawia się węższy, z boku zaś trochę mniej tępy, niż u psa krótkowłosego.

3. *Zwisy* (uszy) średniodługie, szerokie, u dołu tępo zaokrąglone, dość wysoko w całej szerokości osadzone, nie kręcąc się i nie fałdując wcale, zwisają gładko z głowy.

4. *Oko*, lekko owalne, średniej wielkości, pogodne, czyste, ani zbyt na wierzchu, ani też zbyt głęboko osadzone.

Powieki zawierają się szczelnie.

Barwa brunatna, ciemniejsza lub jaśniejsza, odpowiednio do barwy włosa.

5. *Nos*. Dostrajając się do maści psa, mniej lub więcej ciemno brunatny, rozdęty, o silnie rozwiniętych muszkułach. Nos podwójny, niedopuszczalny.

6. *Szyja* silna, nieco dłuższa niż u krótkowłosego wyżła, w karku lekko sklepiona, u dołu rozszerzająca się stopniowo do całej szerokości piersi.

Skóra u gardła szczelnie przylegająca.

7. *Pierś i klatka piersiowa*. Pierś widziana z przodu nieco mniej szeroka niż u wyżła krótkowłosego; natomiast dłuższe są żebra, tworzące pierś, pierś zatem jest więcej pogłębioną.

8. *Grzbiet, biodra i zad*. Grzbiet szeroki i prosty, biodro możliwie szerokie a krótkie, tak grzbiet jak i część biodrowa możliwie o silnych muszkułach, zad nie za krótki, nieco spadający.

9. *Brzuch i boki*. Brzuch ściśnięty, mianowicie w bokach, ku tyłowi miernie podniesiony.

10. *Ogon* średnio długi, przy nasadzie mocny, do połowy zwykle prosto trzymany, powoli się zwężający, od połowy pod kątem rozwartym ukośnie wzniesiony.

11. *Przednie członki*. Ramiona ukośnie ustawione, łokcie nie wygięte ani do środka, ani na zewnątrz.

Bieg (przedramię i środkowa kość u przedniej nogi) prosty i silny, o rozwiniętych muskułach, nie przegięty w nasadzie przedniej nogi (przedniem kolanie), palce miernie sklepione, stopa krągła, lecz więcej wyciągnięta niż u psa krótkowłosego.

Puszki pod stopą wielkie i rapate, pazury zakrzywione.

12. *Tylne członki*. Zad, szynki i łydki muskularne, łydki do stawu skokowego ani zbyt spadziste, ani też ukośnie, jak u chartów ustawione, środek tylnej nogi nie za ukośnie, lecz prawie prosto pod stawem skokowym umieszczony.

Dla patrzącego z tyłu nie powinny się stawy skokowe wydawać ani na zewnątrz, ani na wewnątrz skręcone.

13. *Owłosienie* długie, jedwabiste, miękkie i błyszczące, lekko i płasko falujące (nie kędzierzawe) na twarzy krótkie, gęste i miękkie u głowy i na krańcach jej zwisające, tak, że owłosienie to przedstawia się obfitszem niż niem jest w istocie, na gardle, szyi, piersi i brzuchu tworzy zwisającą frędzlę, na tylnej części przednich biegów od łokcia aż do puszek pod stopą, tak samo jak na tylnej części uda aż do łydki, a również na wewnętrznej stronie nasady stopy tworzy wełnistą chorągiewkę. Odstępy między palcami gęsto i miękko owłosione.

Pod ogonem tworzy długi, zwisający włos obfitą kitę, która przed środkiem ogona dochodzi największej długości i ku końcowi stopniowo się skręca.

14. *Maść i odznaki*. Ciemnobrunatna w jednym tonie, oko brunatne lub jasno brunatne, często wąska, biała pręga na piersiach, biała z brunatnemi płatkami lub w tym kolorze prążkowana.



Za wadliwe uważa się:

Ciężką, niezgrabną, przeładowaną budowę, ukośny grzbiet, nadmiernie dużą głowę, stożkowaty tyłogłów, za długie, mięsiste, mało owłosione, za głęboko osadzone, za krótkie i zbyt sfałdowane zwisy, nos czarny lub koloru surowego mięsa, nie szczelne dowieranie się powiek (rozszerzone gruczoliki łzowe) krzywe przednie biegi na zewnątrz wykręcone lub ściśnione łokcie, na zewnątrz zwrócone stopy, płaskie stopy lub rozpostarte palce.

Maści są wadliwe: czarna, jednolicie biała, żółta i czerwona. Ostrogi nie są pożądane.

Przypominamy, że ostatnim terminem zgłoszenia psów do popisów polowych w Bierzanowie jest dzień 1. września b. r.

Od Administracyi „Łowca".

P. T. Członkom gal. Tow. łowieckiego, którzy mimo licznych urgensów dotychczas z wkładkami zalegają — wysłaliśmy należycie wypełnione przekazy, celem przypomnienia oraz udogodnienia im spełnienia statutem przepisanego obowiązku.

Wobec faktu jednak, że znaczna liczba Członków obowiązku tego spełnić jeszcze nie raczyła, zmuszeni jesteśmy oświadczyć, że kto z urgowanych do 12-go b. m. zaległej wkładki nie uiści — następnego numeru „Łowca" nie otrzyma, ściągnięciem zaś rzeczonej wkładki zajmie się Syndyk Towarzystwa.

Celem więc uniknięcia tej niemiłej ostateczności, zwracamy się do dłużników naszych z usilną prośbą o łaskawe uwzględnienie niniejszego przypomnienia.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Gordon Setter z „Champion Miss Macbeth“, odznaczonej na wystawach i popisach polowych przeszło 30. I. nagrodami, po „Champ. Norway Scott vom Felde“, importowanym z Norwegii (20. I. nagród), urodzony 10. czerwca 1906, nagrodzony na wystawie wiedeńskiej złotym medalem, zapisany do ksiąg rodowodowych, z gotową tresurą pokojową, z znakomitym wiatrem, do sprzedania za 400 koron.

Szczenięta rasy „Gordon Setter“ z „Champion Isa Bella My Darling“ i „Blue Bell of Radcliffe“ po „Only the Lone Fred My Darling“ do sprzedania. Wiadomość u w aściciela p. A. Towarnickiego — Borysław.

Do sprzedania szczenięta 10-ciotygodniowe po matce seterce, ojcu krótkowłosym niemieckim, słynnych z dobroci, czarne podżare i bronzowe, po 40 koron z klatką loco dworzec Nowy Sącz, u J. Manieckiego w Nawojowej.

Poszukuję pointera ewentualnie settera tresowanego z dobrym węchem; spokojnego wobec strzału i zająca. Aportować nie potrzebuje. Władysław Żeleński, Grodkowice poczta Brzezie.

Tanio do nabycia Pointerka tresowana w III. polu i pies Pointer ośmiomiesięczny — oboje czystej krwi.
Wiadomość: Domański, Lwów, Gródecka 41, I. p.

Jubiler
JAN JARZYNA
poleca **wyroby złote i srebrne.**
WYBÓR ZNACZNY. — CENY UMIARKOWANE.
Lwów, hotel Europejski, plac Maryacki I. 4.

Oryentalne DYWANY i strzyżone

PORTYERY, FIRANKI, KAPY, MATERYE NA MEBLE

od najtańszych do najgustowniejszych

oraz największy skład TAPET i WSZELKICH DEKORACYI POKOJOWYCH od najtańszych do najgustowniejszych (imitacya skóry, płótna, sukna, jedwabiu), których wzory wysyła opłatnie

Lwów, ul. Akademicka 2 W. ADAMSKI Lwów, ul. Akademicka 2

Perfumerya

Alfred Dzikowski

Bronzy francuskie

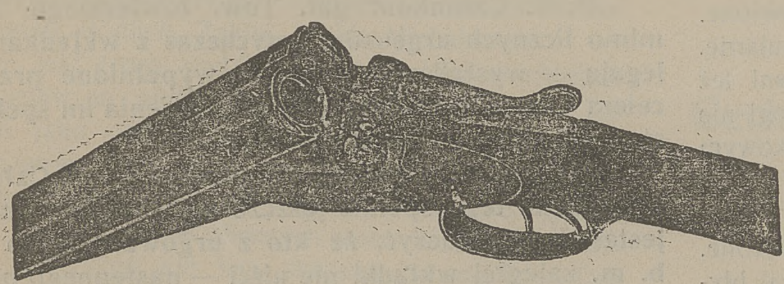
c. k. nadworny dostawca

we Lwowie, ul. Karola Ludwika 1

poleca swą

jedyną w kraju fabrykę broni

odznaczoną na wystawach krajowych i zagranicznych najwyższemi nagrodami.



Główne zastępstwo
dla Galicyi i Bukowiny
fabryk broni
J. P. Sauera i W. Collatha

Browningi, rewolwery i floberty we wszystkich systemach i gatunkach.

Największy skład przyborów myśliwskich.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**